



Aleksander Dumas ojciec
TOWARZYSZE JEHU

Tom 2

Druga część cyklu „Sainte Hermine”



21

ISBN 978-83-65753-74-8 (całość)
ISBN 978-83-65753-76-2 (tom drugi)

Aleksander Dumas ojciec

TOWARZYSZE JEHU



Aleksander Dumas (1802-1870), wnuk markiza Davy de la Pailleterie i czarnej niewolnicy Marie Cessette Dumas z San Domingo, syn ich potomka – generała Republiki, też Aleksandra, i jego żony Marii Ludwiki Labouret – córki prowincjonalnego mieszczanina, przychodzi na świat w Villers-Cotterêts w Pikardii. Jego ojciec, bohater kampanii włoskiej, skłócony z generałem Bonaparte podczas wyprawy do Egiptu, aż do swej śmierci w 1806 nie odzyskuje życzliwości Napoleona. W 1823 roku pełen ambicji Aleksander instaluje się w Paryżu z zamiarem zrobienia kariery dramatopisarza. Bywa na spotkaniach literacko-artystycznego salonu młodych romantyków u Charles’a Nodiera w bibliotece Arsenалу. W 1831 roku jego sztuka *Antony* powoduje podobny wybuch entuzjazmu jak *Hernani* Wiktora Hugo. Ale to nie teatr, lecz powieść historyczna, której poświęca się coraz bardziej, staje się jego przeznaczeniem. W roku 1844 publikuje swe najgłośniejsze dzieła: *Trzej Muszkietierowie* i *Hrabia Monte Christo*. W nadzwyczaj obfitej twórczości literackiej korzysta z pomocy współpracowników, z których najsłynniejszym jest Auguste Maquet. Powstają kolejne słynne powieści: *Królowa Margot*, *20 lat później*, *Józef Balsamo*... Pasma sukcesów i znaczące dochody umożliwiają mu budowę pałacu Monte Christo w podparyskim Port-Marly. Rozrzutny tryb życia i rozliczni „przyjaciele” doprowadzają go do bankructwa. Jego życie jest równie dynamiczne, jak akcja jego powieści. Odbywa wiele podróży, między innymi do Rosji, z których pisze bogate relacje. W 1860 roku pomaga Garibaldiemu w zjednoczeniu Italii. Przez jego życie przewijają się liczne kobiety, ale żonaty (i rozwiedziony) jest tylko raz. Wydaje gazety, kieruje teatrem. Powieść *Towarzysze Jehu*, kontynuację powstałej w 1867 roku książki *Biali i Niebiescy*, pisze w roku 1857, inspirując się tekstami Charles’a Nodiera. Pod koniec życia mieszka u swego syna – też Aleksandra i także pisarza – koło Dieppe nad kanałem La Manche, tam też umiera. W 200-lecie urodzin zostaje przeniesiony z wielką pompą do paryskiego Panteonu.

Aleksander Dumas ojciec



TOWARZYSZE JEHU
TOM 2

Druga część cyklu „Sainte Hermine”

Przełożył i przypisami opatrzył Krzysztof Jagusiak

Pięćdziesiąta siódma publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ

Dwudziesty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału francuskiego: *Les Compagnons de Jéhu*

© Copyright for the Polish translation by Krzysztof Jagusiak, 2019

72 ilustracje, w tym 10 kolorowych: Alphonse de Neuville i Frédéric Lix
(zaczerpnięte z XIX-wiecznego wydań francuskich oraz dostępnych
w Bibliotece Narodowej Francji i innych bibliotekach francuskich)
Ilustracje na okładce i w tekście podkolorował Dariusz Kocurek

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja i korekta: Kinga Ochojska

Korekta: Andrzej Zydorczak

Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2019

ISSN 2449-9137

ISBN 978-83-65753-74-8 (całość)

ISBN 978-83-65753-76-2 (tom drugi)

Rozdział XXIX

Dyliżans z Genewy

Mniej więcej o tej samej godzinie, o której Roland wjeżdżał do Nantes, ciężko załadowany dyliżans zatrzymał się przed oberżą de la Croix-d'Or w połowie głównej drogi przecinającej Châtillon-sur-Seine.

Dyliżanse z tamtej epoki posiadały tylko dwa przedziały: przedni, zwany *coupé*, i wewnętrzny. Przedział tylny, czyli rotunda, jest wynalazkiem późniejszym.

Kiedy tylko powóz się zatrzymał, pocztynion zeskoczył na ziemię i otworzył drzwiczki.

Z otwartego pojazdu wysiedli jego pasażerowie. Owych pasażerów, w tym i pasażerek, było łącznie siedmioro. Przedział wewnętrzny zajmowało trzech mężczyzn, dwie kobiety i niemowlę, natomiast w *coupé* podróżowała matka z synem.

Trzema mężczyznami siedzącymi w przedziale wewnętrznym byli: lekarz z Troyes, zegarmistrz z Genewy i architekt z Bourg, zaś dwiema kobietami – pokojówka jadąca do Paryża do swej pani i niańka wioząca niemowlę jego rodzicom.

Natomiast pasażerowie *coupé* to kobieta lat około czterdziestu, która zachowała ślady nadzwyczajnej niegdyś urody, oraz towarzyszący jej syn w wieku jedenastu lub dwunastu lat. Trzecie miejsce w przednim przedziale zajmował przewoźnik.

Posiłek przygotowany jak zwykle w dużej sali. Był to jeden z tych posiłków, na które konduktorzy – zapewne w porozumieniu z oberżystą – nie pozostawiają pasażerom nigdy wystarczająco wiele czasu, by mogli wszystko zjeść.

Pokojówka i niańka udały się do pobliskiej piekarni, gdzie każda z nich kupiła sobie ciepłą bułeczkę. Niańka do tego dorzuciła jeszcze kawałek czosnkowej kielbasy. Obydwie panie powróciły do pojazdu i tam spokojnie zabrały się do jedzenia. Zaoszczędziły w ten sposób na kosztach posiłku w oberży, które zapewne dotkliwie nadwężyłyby ich budżet.

Tymczasem lekarz, architekt, zegarmistrz i matka z synem weszli do karczmy. Ogrzali się nieco przy wielkim kominku w kuchni, a następnie udali się do jadalni i zasiedli do stołu.

Matka zadowolona się filiżanką kawy z mlekiem i kilkoma owocami. Chłopiec zaś, który przez swój apetyt mógł uważać się za mężczyznę, dzielnie zaatakował posiłek widelcem.

Pierwszym odruchem przy stole było jak zwykle zaspokojenie głodu.

Po chwili zegarmistrz z Genewy przerwał milczenie.

– Na honor, obywateli – rzekł, ponieważ w miejscach publicznych nadal tytułowano się obywatelami – przyznam szczerze, że dzisiejszego poranka z ulgą przywitałem nadejście dnia.

– Czyżby pan nie sypiał podczas podróży? – spytał lekarz.

– Ależ tak, drogi panie – odpowiedział rodak Jean-Jacques'a Rousseau – zazwyczaj śpię przez całą drogę. Ale teraz niepokój był silniejszy od zmęczenia.

– Bał się pan, że dyliżans się przewróci? – zainteresował się architekt.

– Nie, pod tym względem mam szczęście. Sądzę nawet, że wystarczy, bym wszedł do jakiegokolwiek pojazdu, a ten stanie się niewywracalny. Nie, to nie o to chodzi.

– Zatem o co? – indagował lekarz.

– O to, co mówi się w Genewie, że drogi we Francji nie są bezpieczne?

– To zależy – wtrącił architekt.

– Jak to, zależy? – nie rozumiał genewczyk.

– Tak – wyjaśniał architekt. – Na przykład, gdybyśmy transportowali rządowe pieniądze, moglibyśmy być pewni, że zostaniemy zaatakowani, lub raczej już by do tego doszło.

– Tak pan sądzi? – nie dowierzał zegarmistrz.

– To byłoby nieuchronne. Nie mam pojęcia, w jaki sposób te diabły, towarzysze Jehu, są tak dobrze poinformowani. Ale nie wymyka im się ani jeden transport.

Lekarz twierdząco pokiwał głową.

– Ach! – genewczyk zwrócił się teraz do niego. – Pan również jesteś tego samego zdania.

– Całkowicie.

– A gdybyś pan wiedział, że dyliżans wiezie rządowe pieniądze, czy mimo tego również zdecydowałbyś się na podróż?

– Przyznaję – odparł lekarz – że najpierw dobrze bym się zastanowił.
– A pan? – zegarmistrz zwrócił się do architekta.
– Och, ja – padła odpowiedź – gdybym miał do załatwienia bardzo pilną sprawę, mimo wszystko bym pojechał.

– Mam nieodpartą ochotę – wyznał genewczyk – zabrać moje bagaże i poczekać na następny dylizans. W walizkach wiozę zegarki warte około dwudziestu tysięcy franków. Aż do tej pory mieliśmy szczęście, ale nie należy Boga wystawiać na próbę.

– Czy pan nie słyszał – do rozmowy wtrąciła się matka – że ryzyko rozboju istnieje tylko wtedy, gdy dylizans wiezie rządowe pieniądze? A przynajmniej tak twierdzą obecni tutaj panowie.

– Ano właśnie, w tym cały problem – oznajmił zegarmistrz i niespokojnie rozejrzał się wokół – bo my je również przewozimy!

Kobieta nieco pobladła i z obawą spojrzała na syna. Jak każda matka, w pierwszej kolejności troszczyła się o własne dziecko.

– Co takiego?! My je przewozimy? – lekarz i architekt zareagowali jednocześnie, wydali okrzyk głosem poruszonym, choć w różnym stopniu. – Jesteś pan tego pewny?

– Całkowicie pewny, panowie.

– Zatem powinienes nas pan o tym uprzedzić wcześniej. A mówiąc o tym teraz, wyrażaj się ciszej.

– Ale – lekarz nie dowierzał – może nie jesteś pan tak całkowicie tego pewny?

– Lub pan tylko żartuje? – architekt też miał wątpliwości.

– Uchowaj Bóg!

– Mieszkańcy Genewy to bardzo zabawni ludzie – do architekta dołączył lekarz.

– Panowie – zegarmistrz poczuł się bardzo urażony, że biorą go za wesołka – panowie, na własne oczy widziałem, jak je ładowano.

– Znaczy co?

– Pieniądze.

– A jest ich dużo?

– Zauważyłem sporo worków.

– Ale skąd te pieniądze pochodzą?

– Ze skarbca berneńskich niedźwiedzi. Chyba jest wam wiadomo, panowie, że ich dochody wynosiły pięćdziesiąt, a nawet sześćdziesiąt tysięcy liwrów.

Lekarz roześmiał się i powiedział:

– Pan zdecydowanie chce nas wystraszyć.

– Panowie – zegarmistrz pozostawał poważny – daję wam moje słowo honoru.

– Do dylizansu, panowie! – zawołał przewoźnik i otworzył drzwi. – Odjeżdżamy! Mamy trzy kwadranse spóźnienia.

– Chwileczkę, konduktorze, chwileczkę – powstrzymał go architekt – właśnie się naradzamy.

– Nad czym?

– Proszę zamknąć drzwi i przyjść tutaj.

– Wypij z nami kieliszek wina, konduktorze.

– Z przyjemnością, panowie – ucieszył się przewoźnik – tego się nie odmawia.

Po tych słowach ujął swój kieliszek, a trzech podróżni tręcili o niego swoimi.

Nim konduktor przyłożył szkło do ust, lekarz powstrzymał go i zapytał:

– Przyznaj uczciwie, konduktorze, czy to jest prawdą?

– A co takiego?

– Co opowiada nam ten pan.

To powiedziałwszy, wskazał na genewczyka.

– Pan Féraud?

– Czy ten pan nazywa się Féraud, tego nie wiem.

– Tak, to moje nazwisko. Do pana usług – ukłonił się genewczyk. – Féraud i spółka, zegarmistrzowie, ulica du Rempart, numer sześć, w Genewie.

– Panowie – ponaglił przewoźnik – odjeżdżamy!

– Ale nie odpowiedziałeś nam.

– Ale co, u diabła, miałem wam odpowiedzieć? Przecież o nic nie pytacie.

– Ależ tak. Chcielibyśmy wiedzieć, czy prawdą jest, że ten dyliżans przewozi sporą sumę pieniędzy należących do rządu francuskiego?

– Gaduła! – zwrócił się do zegarmistrza przewoźnik. – To pan powiedziałeś im o tym?

– Stało się, szanowny panie...

– Idziemy, panowie, wsiadamy do dyliżansu.

– Zanim wsiądziemy, chcielibyśmy o tym jednak wiedzieć...

– Co? Czy przewożę rządowe pieniądze? I owszem, przewożę. Ani słowa o tym na następnym postoju, a wszystko dobrze się ułoży.

– Jesteś pewny?

– Załatwienie tej sprawy pozostawcie mnie.

– Co pan zrobisz, jeśli nas napadną? – zapytał architekt lekarz.

– Na honor! Słuchał będę rad konduktora.

– Tak właśnie będzie dla was najlepiej – przyznał przewoźnik.

– Zatem będę się zachowywał spokojnie – dodał architekt.

– Ja również – potwierdził lekarz.

– Naprzód, panowie, wsiadamy, pospieszmy się!

Chłopak słuchał tej rozmowy ze zmarszczonymi brwiami i zaciśniętymi zębami.

– O, już ja wiem – odezwał się do matki – dobrze wiem, co zrobię, jeśli nas napadną.

– Co zamierzasz? – zaniepokoiła się kobieta.

– Zobaczysz.

– Co mówią ten dzieciak? – zainteresował się zegarmistrz.

– Mówię, że wszyscy jesteście tchórzami – odparł bez wahania chłopiec.

– Ależ Edouardzie! – skarciła go matka. – Jak ty się zachowujesz?

– Chciałbym, żeby napadnięto na dyliżans – powiedział dzieciak z błyskiem w oczach.

– Wsiadamy, wsiadamy, panowie, na miły bóg! Do dyliżansu – przynaglił po raz ostatni przewoźnik.

– Konduktorze – spytał lekarz – spodziewam się, że nie jesteś uzbrojony?

– Przeciwnie, mam pistolety.

– O, nieszczęsny!

Przewoźnik pochylił się nad jego uchem i cicho dodał:

– Bądź pan spokojny, doktorze. Załadowane są tylko prochem.

– To już lepiej.

Zamknęto drzwiczki wewnętrznego przedziału.

– Naprzód, pocztylonie, w drogę!

Pocztylion strzelił zatem z bicia, a ciężka machina drgnęła z miejsca. Zatrzasnęły się drzwiczki przedniego przedziału.

– Nie wsiadasz z nami, konduktorze? – zapytała matka.

– Dziękuję, pani de Montrevel – odparł przewoźnik – mam sprawę na dachu pojazdu.

A zaglądając przez okienko, jeszcze dodał:

– Proszę uważać na panicza Edouarda, żeby nie dotykał pistoletów, które są tam w kieszeni. Mógłby się zranić.

– Też coś! – obruszył się dzieciak. – Tak, jakbym nie wiedział, co to pistolety. Mam ładniejsze niż wasze.

Mój przyjaciel, sir John, sprowadził mi je z Anglii. Prawda, mam?

– Mniejsza o to – rzekła pani de Montrevel. – Proszę cię, Edouardzie, nie dotykaj niczego.

– Och, bądź spokojna, mamusiu – odparł chłopiec, ale półgłosem, jakby sam do siebie dodał:

– Tym niemniej, jeśli towarzysze Jehu nas zatrzymają, wiem ja dobrze, co zrobię.

Dyliżans ociężałe nabierał prędkości i toczył się w kierunku Paryża.

Jechał jednym z tych pięknych, zimowych dni, które ludziom przekonany o śmierci natury pozwalają zrozumieć, że ona nie umiera, lecz tylko zasypia. Osiągający siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt lat człowiek, podczas swego długiego życia miewa trwające dziesięć bądź nawet dwanaście godzin noce i skarży się, że ich długość skraca dodatkowo dni jego żywota. W istniejącej bez końca przyrodzie, rosnące nieraz tysiąc lat drzewa śpią pięć miesięcy. To, co dla nas jest zimą, dla nich to tylko noc. Poeci w swych zazdrośnych wierszach opiewają nieśmiertelność natury, która każdej jesieni umiera, a z każdą wiosną zmartwychwstaje. Poeci się mylą. Przyroda jesienią nie umiera, ona zasypia, a wiosną nie zmartwychwstaje, lecz się budzi.

W dniu, w którym nasz glob faktycznie umrze, wszystko naprawdę stanie się martwe, a kula ziemską toczyć się będzie w kosmosie lub zniknie w otchłani chaosu bezwładna, niema, samotna, bez drzew, bez kwiatów, bez zieleni i bez poetów.

Tymczasem owego pięknego dwudziestego trzeciego dnia lutego 1800 roku uśpiona natura zdawała się snić o wiośnie. Niemal radośnie świecące słońce sprawiło, że owe zwodnicze perły szronu, roztopiające się w dziecięcych paluszkach i radujące oko rolnika, kiedy zwisają z czubków kielkującego dzielnie z ziemi zboża, iskrzyły się na trawie porastającej dwa okalające drogę rowy. W dyliżansie otworzono okienka, by wpuścić do wnętrza ów przedwiosenny uśmiech Boga. A nieobecne od dawna słoneczne promienie zdawano się pozdrawiać słowami: „Witaj, wędrowcze, którego uznaliśmy za straconego w olbrzymich chmurach zachodu lub w burzliwych falach oceanu”.

Nagle, po jakiejś godzinie podróży od wyjazdu z Châtillon, w pobliżu rzecznej zakola pojazd zatrzymał się bez widocznego powodu. Jedynie na drodze pojawiło się czterech jadących spokojnie stępą jeźdźców. Jeden z nich, poprzedzający pozostałych o jakieś dwa, trzy kroki, dał ręką znak poczytliwemu, by nie posuwał się dalej.

Ten go posłuchał.

– Mam, zobacz! – zawołał mały Edouard, który wbrew zaleceniom pani de Montrevel wyglądał przez okienko z uchyloną szybą. – Och, mam! Jakie piękne konie! Ale dlaczego ci kawalerzyści noszą maski? Przecież to nie karnawał.

Pani de Montrevel marzyła. Kobieta zawsze nieco marzy: młoda o przyszłości, starsza o przeszłości. Wyrwana z marzeń, również wyjrzała na zewnątrz i krzyknęła.

Edouard gwałtownie się odwrócił.

– Co ci się stało, mam?! – zapytał.

Błada pani de Montrevel przytuliła go do siebie i nic nie odpowiedziała.

Słychać było krzyki przerażenia dochodzące w wewnętrznego przedziału dyliżansu.

– Ale co takiego się dzieje? – pytał mały Edouard, usiłując się uwolnić od przytrzymującego go ramienia matki.

– Dzieje się to, mój mały przyjacielu – rozległ się pełen łagodności głos należący do jednego z zamaskowanych jeźdźców, który zajrzał do wnętrza *coupé* – że mamy pewne porachunki do wyrównania z konduktorem. Porachunki, które w niczym nie dotyczą pasażerów. Przekaż więc twojej mamie nasze wyrazy szacunku i powiedz jej, by nie zwracała na nas uwagi.

Potem podszedł do przedziału wewnętrznego i oznajmił:

– Panowie, kłaniam się uniżenie. Nie obawiajcie się ani o wasze trzosi, ani o waszą biżuterię, i zapewnijcie nianię, że nie zabierzemy jej mleka.

Następnie zwrócił się do konduktora:

– Kolej na nas, ojcze Jérôme! Wieziemy jakieś sto tysięcy franków na dachu i w skrzynkach bagażowych, prawda?

– Panowie, zapewniam was...

– Pieniądze przeznaczone są dla rządu, a pochodzą ze skarbcza berneńskich niedźwiedzi. Siedemdziesiąt tysięcy jest w złocie, reszta w srebrze. Srebro jest na dyliżansie, a złoto w skrzyni przedziału *coupé*. Czyż nie jesteśmy dobrze poinformowani?

Na dźwięk słów „w skrzyni przedziału *coupé*” pani de Montrevel wydała kolejny okrzyk przerażenia. Miała się znaleźć w bezpośrednim kontakcie z tymi ludźmi, którzy pomimo ich uprzejmości napawali ją głębokim strachem.

– Ale co tobie, mam? Co tobie? – niecierpliwie dopytywał się chłopak.

– Zamilknij, Edouardzie, zamilknij.

– Dlaczego mam milczeć?

– Czy nic nie rozumiesz?

– Nic.

– Dyliżans zatrzymano.

– Dlaczego? Ale w jakim celu...? Ach, mam! Wreszcie zrozumiałem.

– Nie, nie – pośpiesznie mówiła pani de Montrevel – nic nie rozumiesz.

– Ci panowie są złodziejami.

– Strzeż się to mówić.

– Ani myślę! Czyż nie są to złodzieje? Oto zabierają pieniądze od konduktora.

W istocie, jeden z nich ładował na grzbiet swego konia worki z pieniędzmi, które przewoźnik zrzucił mu z dachu dyliżansu.

– Nie – przekonywała pani de Montrevel – to nie są złodzieje.

A znijęwszy głos, dodała:

– To są towarzysze Jehu.

– Och! – krzyknął dzieciak. – Więc to właśnie oni zamordowali mego przyjaciela, sir Johna?

Teraz z kolei to chłopak zrobił się bardzo blady. Jego oddech, wydawany przez zaciśnięte zęby, stał się świszczący.

W tym momencie jeden z zamaskowanych ludzi otworzył drzwiczki przedziału *coupé* i odezwał się z najbardziej wyszukaną grzecznością:

– Pani hrabino, niezmiernie nam przykro, że zmuszeni jesteśmy pani przeszkodzić, ale mamy, lub raczej konduktor ma coś do zabrania ze skrzyni tego właśnie przedziału. Niech pani będzie tak miła i na chwilę wysiądzie. Jérôme załatwi sprawę tak szybko, jak tylko to możliwe.

Następnie z wesołym akcentem, który właściwie nigdy nie opuszczał tego śmiejącego się głosu, zwrócił się do przewoźnika:

– Czyż nie, Jérôme?

Konduktor z dachu dyliżansu odpowiedział twierdząco na zadane mu pytanie.

W instynktownym odruchu, by zasłonić syna przed niebezpieczeństwem, jeśli by w ogóle takie zaistniało, pani de Montrevel posłusznie spełniwszy prośbę, pozostawiła Edouarda za swymi plecami.

Ta chwila wystarczyła chłopcu, by wyciągnąć pistolety konduktora.

Młody człowiek o śmiejącym się głosie z największym szacunkiem pomógł wysiąść pani de Montrevel, dał znak jednemu ze swych towarzyszy, by podał jej ramię, i odwrócił się do dyliżansu.

W tejże samej chwili dał się słyszeć podwójny wystrzał. Edouard wypalił z dwóch pistoletów do towarzysza Jehu, którego otoczyła gęsta chmura dymu.

Pani de Montrevel krzyknęła i osunęła się, zemdlona.

Liczne wrzaski, wyrażające różnorodne odczucia, zawtórowały matczynemu okrzykowi.

Z przedziału wewnętrznego dobiegały głosy przerażenia. Przecież postanowiono nie stawiać żadnego oporu, a tutaj ktoś się sprzeciwił.

Trzej zamaskowani ludzie krzykiem dali wyraz zaskoczeniu. Po raz pierwszy przytrafiło im się coś podobnego.

Skoczyli do swego towarzysza, którego spodziewali się znaleźć podziurawionego.

Tymczasem stał on cały i zdrowy, śmiał się do rozpuku, podczas gdy przewoźnik ze złożonymi błagalnie rękami wołał:

– Przysięgam panu, że nie było kul. Zapewniam pana, że załadowane były jedynie prochem.

– Do diabła – skomentował młody człowiek – sam widzę, że naładowane były tylko prochem. Ale godziwych chęci nie brakowało... Czyż nie, mój mały Edouardzie?

Potem, zwróciwszy się do towarzyszy, oznajmił:

– Przyszajcie panowie, że ten oto uroczy chłopak jest godnym synem swego ojca i godnym bratem swego brata. Brawo, Edouardzie, pewnego dnia staniesz się mężczyzną!

I wzięwszy chłopca w ramiona, wbrew jego oporom ucałował go w oba policzki.

Edouard wyrывał się niczym demon, ponieważ zapewne uważał za upokarzający fakt ucałowania go przez człowieka, do którego dwukrotnie wystrzelił.

W tym czasie jeden z trzech pozostałych towarzyszy przeniósł matkę Edouarda kilka kroków od dyliżansu i ułożył na płaszczu rozciągniętym na poboczu drogi.

Ten, który tak czule i natarczywie ucałował Edouarda, przez chwilę szukał jej wzrokiem, a gdy ją spostrzegł, powiedział:

– Po tym wszystkim pani de Montrevel nie doszła jeszcze do siebie. Panowie, nie możemy pozostawić damy w takim stanie. Konduktorze, zaopiekuj się paniczem Edouardem.

Przekazał mu chłopca i zwrócił się do jednego ze swych towarzyszy:

– Przecież ty jesteś człowiekiem bardzo przezornym. Czy nie masz przy sobie jakiegoś flakoniku z solami trzeźwiącymi lub buteleczki z wodą z melisy?

– Owszem, mam – odparł zapytany.

Z kieszeni wyciągnął flakonik z angielskim octem¹.

– Daj! A ty pomóż ojcu Jérôme – polecił młody człowiek, który sprawiał wrażenie szefa bandy. – Ja zajmę się udzieleniem pomocy pani de Montrevel.

Należało się śpieszyć. Omdlenie pani de Montrevel zaczęło przybierać charakter kryzysu nerwowego. Konwulsyjne ruchy wstrząsały całym jej ciałem. Głuche okrzyki wyrwały się z jej piersi.

Młody człowiek pochylił się nad zemdloną i podsunął jej pod nos otwarty flakonik.

Pani de Montrevel otwarła przestraszone oczy i zawoławszy „Edouard! Edouard!”, mimowolnym gestem straciła maskę z twarzy człowieka, który niósł jej pomoc.

Jego oblicze w pełni się ukazało.

Młody, uprzejmy i wesoły człowiek to był Morgan, co nasi czytelnicy zapewne już odkryli.

Pani de Montrevel zastygła w zdumieniu na widok pięknych, niebieskich oczu, wysokiego czoła, warg pełnych wdzięku i białych zębów, które ukazywały się w uśmiechu.

Zrozumiała, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo z rąk kogoś takiego i że nic złego nie mogło przydarzyć się też Edouardowi.

Potraktowawszy Morgana nie jako bandytę, który był przyczyną jej zasłabnięcia, lecz jako światowca niosącego pomoc zemdlonej kobiecie, powiedziała:

– Och! Jakże pan jest dobry!

W słowach tych i w tonie zawarty był cały ogrom podziękowań, jakie składała nie tylko w swoim imieniu, ale i swojego dziecka.

Z dziwną kokieterią, w której wyrażała się w pełni jego rycerskość, Morgan zamiast co prędzej podnieść maskę i jak najszybciej założyć ją na twarz, by pani de Montrevel nie była w stanie zachować jej w pamięci, odwzajemnił komplement ukłonem i pozostawał z odkrytym licem, które zrobiło tak dobre wrażenie. Dopiero gdy przekazał flakonik d'Assasa w dłoń pani de Montrevel, umocował z powrotem maskę na twarzy.

Pani de Montrevel rozumiała ową delikatność młodego człowieka.

– Och! Proszę być spokojnym – zapewniła – w jakimkolwiek miejscu i jakiegokolwiek sytuacji bym pana nie spotkała, pozostanie pan dla mnie nieznanym.

– W takim razie teraz moja kolej, by pani podziękować – odwzajemnił się Morgan – i stwierdzić, że jest pani dobrą kobietą!

– Państwo podróżni, wsiadamy do dyliżansu! – zawołał przewoźnik w taki sposób, jak gdyby nic nadzwyczajnego się nie przydarzyło.

– Czy doszła pani już w pełni do siebie – spytał Morgan – czy też potrzebuje pani jeszcze kilku chwil? Dyliżans poczeka.

– Nie, to zbędne. Jestem panu niezmiernie wdzięczna i czuję się już doskonale.

Morgan podał ramię pani de Montrevel, a ta wsparła się na nim, by powrócić do dyliżansu i wsiąść się na swoje miejsce.

Przewoźnik umieścił tam już małego Edouarda.

Gdy pani de Montrevel usiadła, Morgan, który zawarł już pokój z matką, chciał pojednać się również z synem.

– Nie chowam urazy, mój młody bohaterze – powiedział i wyciągnął dłoń do chłopca.

Ale dzieciak się cofnął.

– Nie podaję ręki drogowemu rozbójnikowi – odparł.

Pani de Montrevel uczyniła gest przerażenia.

– Ma pani urocze dziecko – skwitował sytuację Morgan – ale ma ono swoje uprzedzenia.

A wykwintnie się ukloniwszy, dodał:

– Życzę pani szczęśliwej podróży!

Po czym zamknął drzwiczki.

– W drogę! – krzyknął przewoźnik.

Pojazd się zakołysał.

– Och! Przepraszam – krzyknęła pani de Montrevel – pański flakonik! Pański flakonik!

– Niech pani go zatrzyma – odpowiedział Morgan – choć mam nadzieję, że czuje się pani dostatecznie dobrze, by już go nie potrzebować.

¹ *Ocet angielski* – aromatyczny płyn na bazie stężonego octu z dodatkiem kamfory, olejków lawendy, rozmarynu, ambry i innych składników.

Ale dzieciak wyrwał flakonik z rąk matki.

– Mama nie przyjmuje prezentów od złodzieja – zawołał i wyrzucił buteleczkę przez okno.

– Do diabła! – mruknął Morgan, a jego towarzysze po raz pierwszy usłyszeli u niego westchnienie. – Sądzę, że dobrze uczyniłem, nie prosząc o rękę mojej biednej Amélie.

A zwróciwszy się do kolegów, zapytał:

– No i co, panowie, wszystko załatwione?

– Tak! – padła jednogłośnie odpowiedź.

– Zatem na koń i w drogę! Nie zapominajmy, że o dziewiątej wieczorem mamy być w operze.

Wskoczył na siodło, przeskoczył przez rów i jako pierwszy dotarł na brzeg rzeki. Tam bez wahania ruszył brodem zaznaczonym na mapie Cassiniego przez fałszywego kuriera.

Po przeprawie przez rzekę zebrali się na jej drugim brzegu.

– Powiedz no – d'Assas zwrócił się do Morgana – czy twoja maska przypadkiem nie spadła?

– Istotnie, spadła. Ale tylko pani de Montrevel widziała moją twarz.

– Hmmm! – d'Assasa nie uspokoiła ta odpowiedź. – Lepiej byłoby, gdyby nikt jej nie widział.

Wszyscy czterej puścili konie galopem przez pola i wkrótce zniknęli od strony Chaource.



Rozdział XXX

Raport obywatela Fouché

Nazajutrz około godziny jedenastej rano pani de Montrevel przybyła do hotelu des Ambassadeurs. Jakież było jej zdziwienie, gdy zamiast Rolanda zastała oczekującego na nią obcego człowieka.

Ów nieznajomy podszedł do niej i spytał:

– Pani, czy mam zaszczyt rozmawiać z wdową po generale de Montrevel?

– Tak, panie – odpowiedziała pani de Montrevel, nieco zaskoczona.

– A spodziewała się pani spotkać tutaj syna?

– W istocie, i nie rozumiem, bo według tego, co napisał w liście...

– Człowiek proponuje, a pierwszy konsul dysponuje – roześmiał się nieznajomy. – Pierwszy konsul przez kilka dni potrzebuje pani syna gdzie indziej, więc mnie przysłał zamiast niego.

Pani de Montrevel ukloniła się i spytała:

– A mam zaszczyt rozmawiać...?

– Z obywatelem Fauveletem de Bourrienne, jego pierwszym sekretarzem – przedstawił się nieznajomy.

– Proszę podziękować pierwszemu konsulowi – odpowiedziała pani de Montrevel – i mam nadzieję, że będzie pan tak dobry, by wyrazić mu mój serdeczny żal, iż nie mogę tego uczynić osobiście.

– Ależ nic prostszego, droga pani.

– Co pan przez to rozumie?

– Pierwszy konsul polecił mi przywieźć panią do Pałacu Luksemburskiego.

– Mnie?

– Panią i pani syna.

– Och! Zobaczę generała Bonaparte! Zobaczę generała Bonaparte! – cieszył się chłopak. – Co za szczęście! Skakał z radości i klaskał w dłonie.

– Przestań, Edouardzie, przestań! – uspokajała go pani de Montrevel, a zwróciwszy się do Bourrienne'a, przeprosiła:

– Niech pan mu wybaczy. To mały dzikus z gór Jury.

Bourrienne wyciągnął rękę do chłopca.

– Jestem przyjacielem twojego brata – powiedział. – Uściskasz mnie?

– O, bardzo chętnie! – odparł chłopak. – Pan przecież nie jest złodziejem.

– Ależ nie. Spodziewam się, że nie – ze śmiechem odpowiedział sekretarz.

– Raz jeszcze proszę mu darować. Ale podczas podróży zostaliśmy zatrzymani.

– Jak to, zatrzymani?

– Ano tak.

– Przez złodziei?

– No, niezupełnie.

– Niech pan powie – włączył się Edouard – czy ludzie, którzy zabierają cudze pieniądze, to nie są złodzieje?

– Na ogół, drogie dziecko, tak właśnie ich nazywamy.

– No widzisz, mamol!

– Edouardzie, proszę cię, przestań!

Bourrienne spojrzął na panią de Montrevel i z wyrazu jej twarzy jasno pojął, że taki temat rozmowy nie był dla niej przyjemny. Dłużej więc nie nalegał.

– Śmiem przypomnieć – powrócił do celu swej wizyty – że otrzymałem polecenie dowieźć pani do Pałacu Luksemburskiego, jak miałem zaszczyt już to powiedzieć. A dodam tylko, że pani Bonaparte czeka!

– Pozwoli pan jednak, że zmienię suknię i przebiorę Edouarda.

– Ile czasu to pani zajmie?

– Czy jeśli poproszę o pół godziny, to nie będzie za dużo?

– Och, nie! Jeśli wystarczy pół godziny, to powiem, że ma pani bardzo rozsądne wymagania.

– Niech pan będzie spokojny, poradzę sobie.

– W takim razie – uklonił się sekretarz – pójde załatwić jeszcze pewną sprawę. Powrócę za pół godziny i pozostanę na pani rozkazy.

– Dziękuję panu.

– Proszę nie mieć mi za złe, że przestrzegam punktualności.

– Nie będzie pan musiał czekać.

Bourrienne wyszedł.

Pani de Montrevel najpierw przebrała Edouarda, następnie zajęła się samą sobą. Gdy Bourrienne powrócił, czekała na niego już od pięciu minut.

– Niech pani się strzeże – powiedział Bourrienne ze śmiechem – bym przed pierwszym konsulem nie pochwalił pani punktualności.

– A czegoż miałabym się z tego powodu obawiać?

– Tego, że zatrzyma panią przy sobie w celu dawania lekcji punktualności pani Bonaparte.

– Och! Trzeba być wyrozumiałym dla Kreolek – rzekła pani de Montrevel.

– Ale jeśli się nie mylę, pani również jest Kreolką.

– Pani Bonaparte widuje swego męża codziennie – ze śmiechem dodała pani de Montrevel – podczas gdy ja zobaczę pierwszego konsula po raz pierwszy.

– Chodźmy już, mam, chodźmy! – niecierpliwił się Edouard.

Sekretarz odsunął się, by pozwolić pani de Montrevel przejść przodem.

Kwadrans później znaleźli się w Pałacu Luksemburskim.

Bonaparte zajmował apartament na parterze po prawej stronie w części zwanej Małym Luksemburgiem. Józefina miała swój pokój i buduar na pierwszym piętrze. Z gabinetu pierwszego konsula wiódł do niej korytarz.

Józefinę uprzedzono wcześniej, bo gdy tylko spostrzegła panią de Montrevel, powitała ją z otwartymi ramionami niczym przyjaciółkę.

Pani de Montrevel zatrzymała się jednak z pełnym szacunkiem w drzwiach.

– Och, niechże pani wejdzie, proszę wejść! – zapraszała ją Józefina. – Znam panią nie od dziś, ale od dnia, w którym poznałam pani pełnego godności i wspaniałego Rolanda. Czy wie pani, kiedy jestem spokojna, jeśli Bonaparte mnie opuszcza? Wtedy, gdy Roland mu towarzyszy. Jeśli wiem, że Roland jest w pobliżu niego, przekonana jestem, że nie przytrafi mu się żadne nieszczęście... Cóż to, nie chce pani mnie uściskać?

Pani de Montrevel była zmieszana tak łaskawym przyjęciem.

– Jesteśmy rodaczkami, prawda? – kontynuowała Józefina. – Och! Przypominam sobie doskonale pana de la Clémencièrre, który posiadał piękny ogród i doskonale owoce! Pamiętam, że widywałam tam piękną młodą dziewczynę, która zdawała mi się być królową. Pani wyszła za mąż bardzo młodo?

– W wieku czternastu lat.

– No tak, oczywiście, skoro Roland jest już w takim wieku. Ale niechże pani usiądzie!

Sama dała przykład i wskazała pani de Montrevel miejsce obok siebie.

– A ten uroczy dzieciak – Józefina wskazała na Edouarda – to także pani syn...?

Wydała przy tym westchnienie.

– Bóg dla pani był bardzo hojny – mówiła dalej – a ponieważ wysłuchuje on pani prośby, proszę pomodlić się, aby i dla mnie zesłał potomka.

Złożyła zazdrosny pocałunek na czole Edouarda.

– Mój mąż bardzo się ucieszy, gdy panią zobaczy. Jakże on kocha pani syna! Toteż nie do mnie najpierw by panią zaprowadzono, gdyby w tej chwili nie był z ministrem policji... Zresztą – dodała wesoło – przybywa pani w dość złym momencie. Jest wściekły.

– Och! – krzyknęła niemal przestraszona pani de Montrevel. – Jeśli tak, to ja wołałabym poczekać.

– Nie, nie! Wręcz przeciwnie, na pani widok się uspokoi. Wiem, co jest tego powodem: podobno napadnięto na dylizans, niczym w górach Schwarzwald, w biały dzień, na środku drogi. Fouché powinien się pilnować, jeśli to się powtórzy.

Pani de Montrevel już chciała odpowiedzieć, gdy drzwi się otworzyły, a w nich pojawił odźwierny i oznajmił:

– Pierwszy konsul oczekuje na panią de Montrevel.

– Proszę iść, niech pani idzie – ponaglała Józefina – czas jest bardzo cenny dla Bonapartego. Jest on niemal równie niecierpliwy jak Ludwik XIV, choć tamten nic nie robił. Pierwszy konsul nie lubi czekać.

Pani de Montrevel żywo się podniosła i chciała ze sobą zabrać syna.

– Nie – powstrzymała ją Józefina – niech pani zostawi ze mną tego uroczego chłopca. Pozostaniecie u nas na posiłek. Bonaparte zobaczy go o szóstej. Zresztą jeśli uzna to za celowe, każe go do siebie przypro-
wadzić. Chwilowo ja zastąpię mu mamę. Czym chciałbyś się zająć?

– Proszę pani, czy pierwszy konsul posiada piękną broń? – spytał dzieciak.

– Tak, bardzo piękną. Pokażę ci kolekcję broni pierwszego konsula.

Józefina wyszła jednymi drzwiami i zabrała ze sobą chłopca, a pani de Montrevel drugimi, którymi podążyła za odźwiernym.

Po drodze hrabina napotkała jakiegoś blondyna o bladej twarzy i przygasłych oczach. Mężczyzna popa-
trzył na nią z niepokojem, który zdawał się u niego zwyczajny.

Pospieszenie usunęła się z drogi.

Odźwierny zauważył ten ruch.

– To prefekt policji – poinformował półgłosem.

Pani de Montrevel popatrzyła za nim z pewną ciekawością. Fouché już w tamtej epoce cieszył się złą
sławą.

W tejże chwili drzwi gabinetu Bonapartego otworzyły się i w ich prześwicie można było ujrzeć zarys
jego głowy.



Natychmiast spostrzegł panią de Montrevel.

– Pani de Montrevel – powiedział – proszę wejść!

Hrabina przyspieszyła kroku i znalazła się w gabinecie.

– Zapraszam – rzekł Bonaparte i zamknął za nią drzwi. – Kazałem pani czekać, to wbrew memu pra-
gnieniu. Właśnie byłem w trakcie udzielania reprimendy Fouchému. Wie pani, że jestem bardzo zadowolony
z Rolanda, a przy najbliższej okazji mianuję go generałem. O której godzinie pani przyjechała?

– Właściwie przed chwilą, generale.

- A skąd pani przybywa? Roland mi mówił, ale zapomniałem.
- Z Bourg.
- Jaką drogą ?
- Drogą przez Szampanię.
- A kiedy pani była w Châtillon...?
- Wczoraj rano, o godzinie dziewiątej.
- W takim razie musiała pani słyszeć o napadzie na dyliżans?
- Generale...
- Tak, o dziesiątej rano między Châtillon a Bar-sur-Seine obrabowano dyliżans.
- Generale, to był nasz.
- Jak to, wasz?
- Tak.
- Była pani w dyliżansie, na który napadnięto?
- Byłam.
- Ach! Zatem poznam dokładne szczegóły! Proszę mi wybaczyć, ale rozumiem pani moje zainteresowanie, prawda? W cywilizowanym kraju, który ma generała Bonaparte za pierwszego konsula, nie napada się bezkarnie na dyliżans pośrodku drogi, i to w biały dzień, albo też...
- Generale, niewiele mogę powiedzieć, tyle tylko, że ci, którzy dokonali napadu, byli konno i w maskach na twarzy.
- Ilu ich było?
- Czterech.
- A ilu w dyliżansie było mężczyzn?
- Czterech, wliczając w to konduktora.
- I nikt się nie podjął obrony?
- Nie, generale.
- A przecież raport policji mówi o dwóch strzałach oddanych z pistoletu.
- Tak, generale. Ale te dwa strzały z pistoletu...
- To co?
- Strzelał mój syn.
- Pani syn! Przecież on jest w Wandei.
- Roland, tak. Ale Edouard był ze mną.
- Edouard! Kim jest Edouard?
- To brat Rolanda.
- Prawda, wspominał o nim. Ale to jeszcze dziecko!
- Nie ma nawet dwunastu lat, generale.
- I to on dwukrotnie wystrzelił z pistoletu?
- Tak, generale.
- Dlaczego pani go tutaj nie przyprowadziła?
- Jest ze mną.
- Gdzie?
- Pozostawiłam go u pani Bonaparte.
- Generał zadzwonił, po czym zjawił się odźwierny.
- Powiedz Józefinie, by przysłała tu z chłopcem.
- Generał zaczął przechadzać się po gabinecie.
- Czterech mężczyzn – mruczał – a dziecko daje im przykład odwagi! I żaden z tych bandytów nie został trafiony?
- W pistoletach nie było kul.
- Co, pistolety nie były naładowane?
- Nie. Należały do przewoźnika, a on był tak ostrożny, że załadował je tylko prochem.
- No dobrze. Poznamy jego nazwisko.
- Drzwi otworzyły się i do gabinetu weszła pani Bonaparte prowadząca za rękę chłopca.
- Podejdź bliżej – zwrócił się do niego generał.
- Edouard podszedł bez wahania i po wojskowemu zasalutował.

- Więc to ty strzelasz z pistoletu do złodziei?
- A widzisz, mamó, mówiłem, że to są złodzieje? – przerwał chłopak.
- Oczywiście, że to złodzieje. Niech ktoś mi zaprzeczy! Wracając do rzeczy, zatem to ty strzelałeś z pistoletu do złodziei, podczas gdy innych mężczyzn obleciał strach?
- Tak, to ja, generale. Ale miałem pecha, ten tchórzliwy konduktor naładował swe pistolety samym prochem. W przeciwnym razie zabiłbym ich szefa.
- Więc nie bałeś się?
- Ja? Nie – odparł chłopiec – ja nigdy się nie boję.
- Powinna się pani nazywać Kornelia² – powiedział Bonaparte i odwrócił się do pani de Montrevel wspartej na ramieniu Józefiny.
- Później ucałował chłopaka i powiedział:
 - Doskonale, będziemy nad tobą czuwać. Kim chciałbyś zostać?
 - Najpierw żołnierzem.
 - Dlaczego najpierw?
 - Tak. A dopiero potem pułkownikiem, jak mój brat, następnie generałem, jak mój ojciec.
 - Nie będzie to moją winą, jeśli tego nie osiągniesz – zauważył pierwszy konsul.
 - Ani moją – rezolutnie odparł chłopiec.
 - Edouardzie! – upomniała go bojaźliwa matka.
 - Chyba nie będzie go pani strofować za celną odpowiedź?
- Podniósł chłopaka na wysokość swej twarzy i ucałował go.
- Zjecie z nami obiad – oznajmił – a wieczorem Bourrienne, który czekał w hotelu, zainstaluje was w domu przy ulicy de la Victoire. Będziecie tam przebywać aż do powrotu Rolanda, który poszuka wam stosownego mieszkania. Edouard wstąpi do szkoły Prytanée³, a Rolanda ożenię.
- Ależ generale!
- Tak umówiliśmy się z Rolandem.
- Następnie zwrócił się do Józefiny.
- Zajmij się panią de Montrevel i pilnuj, aby za bardzo się nie nudziła. Pani de Montrevel, gdyby *pani przyjaciółka* – Bonaparte wymówił z naciskiem dwa ostatnie słowa – chciała wstąpić do modniarki, proszę ją powstrzymać. Kapeluszy nie powinno jej brakować. W ubiegłym miesiącu kupiła ich trzydzieści osiem.
- Po przyjacielsku lekko uderzył Edouarda w policzek i gestem dłoni odprawił dwie kobiety.



² Kornelia Afrykańska (189-100 p.n.e.) – matka Grakchów, słynnych trybunów ludowych, córka Scypiona Afrykańskiego, mądra kobieta, wzorowa matka, uważana za wzór rzymskiej matrony.

³ Prytanée – ówczesna nazwa renomowanej paryskiej szkoły średniej, założonej przez jezuitów 1550 roku, która często zmieniała nazwę, by obecnie zwać się liceum Luis-le-Grand (Ludwika Wielkiego).

Rozdział XXXI

Syn młynarza z Leguerno

Jak już wspomnieliśmy, w tym samym czasie gdy Morgan i jego trzech towarzysze zatrzymali między Bar-sur-Seine i Châtillon dylizans z Genewy, Roland wjeżdżał do Nantes.

Jeśli chcemy poznać rezultat jego misji, powinniśmy nie tyle iść za nim krok w krok uczestnicząc w podchodach, za którymi ksiądz Bernier skrywał swe wygórowane ambicje, lecz zająć się Rolandem na przedmieściu miasteczka Muzillac usytuowanego między Ambon i le Guernic, dwie ligi powyżej małej zatoki, do której wpada rzeka Vilaine.

To sam środek Morbihanu, czyli okolice, w których zrodziła się szuaneria⁴. Tam, w pobliżu Laval w zagrodzie des Poiriers urodziła się czwórka braci Szuanów, synów Pierre'a Cottereau i Jeanne Moyné. Jeden z ich przodków, drwał odludek, posępny wieśniak, trzymał się z dala od innych chłopów, tak jak puszczyk stroni od innych ptaków. Stąd, z przekręcenia nazwy *chat-huant*⁵ powstało przezwisko „szuan”.

Owo określenie dało nazwę całemu stronnictwu. Na prawym brzegu Loary na Bretończyków mówiono „szuanie”, tak jak na brzegu lewym Wandejczyków zwano „brygantami”.

Nie miejsce tu na opowiadanie o śmierci i destrukcji tej bohaterskiej rodziny, z której dwie siostry i jeden brat trafili na szafot, a dwaj inni – Jean i René oddali życie na polach bitewnych, stając się tym samym męczennikami za swą wiarę. Od egzekucji Perrine, jej siostry i Pierre'a i od śmierci Jeana minęło już wiele lat, a męka siostr i wyczyny braci obrosły legendą.

Tutaj do czynienia będziemy mieli z ich spadkobiercami.

Prawdą jest, że ci chłopci pozostali wierni tradycji. Tak, jak pierwsi dzielnie walczyli u boku La Rouërie'a⁶, Boishardy'ego⁷ i Bernarda de Villeneuve, tak ich następcy bili się pod rozkazami Bourmonta⁸, Frotté'a i Georges'a Cadoudala. Wciąż z tą samą odwagą i poświęceniem. Oni zawsze byli chrześcijańskimi żołnierzami i natchnionymi rojalistami. Niezmiennie szorstcy i dzicy. Ciągłe tak samo uzbrojeni w karabin bądź tylko w zwykły drąg, lokalnie zwany *ferte*. Zawsze podobnie ubrani, w brązowej, wełnianej czapce bądź kapeluszu z szerokim rondem, które nie były w stanie przykryć ich długich, prostych włosów, w nieładzie opadających na ramiona. To byli ciągle dawni *Aulerci Cenomani*⁹, jak w czasach Cezara – *promisso capillo*.¹⁰ Niezmienni Bretończycy w obszernych spodniach, o których Marcjalis¹¹ pisał:

Tam laxa est...

*Quam veteres braccæ Britonis pauperis*¹²

By chronić się przed deszczem i chłodem, nosili peleryny z koziej skóry, na której zachowano długą sierść, a jako symbol przynależności jedni zawieszali na piersi szkaplerz i różaniec, a inni – serce, serce Jezusa. Był to znak rozpoznawczy bractwa codziennie oddającego się wspólnej modlitwie.

⁴ *Szuania* – zbrojny ludowy ruch, skierowany przeciw republice, przypadający zwłaszcza na lata 1790-1800, stanowiący część działań określanych ogólnie terminem „powstania w Wandei”, a obejmujący głównie Bretanię, ale także inne regiony, np. Normandię i Andegawenię.

⁵ *Chat-huant* (fr.) – puszczyk.

⁶ Armand Tuffin de *La Rouërie* (1751-1793) – markiz, uczestnik wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych; po powrocie do Francji początkowo przychylny ideom rewolucji, w 1791 roku w obronie praw Bretanii i monarchii zorganizował Stowarzyszenie bretońskie, czyli prekursora szuanerii.

⁷ Amateur-Jérôme Le Bras de *Boishardy* (1762-1795) – przywódca szuanerii w północnej Bretanii; zdradzony, zginął z rąk ścigających go żołnierzy republiki.

⁸ Louis Auguste Victor de Ghaisne de *Bourmont* (1773-1846) – hrabia, po wybuchu rewolucji wyemigrował, walczył w armii emigrantów i uczestniczył w szuanerii, głównie na terenie Maine do 1800 roku; podejrzany o spiskowanie, trafił do więzienia, skąd uciekł w 1804 roku i udał się do Portugalii; w 1808 roku wstąpił do napoleońskiej armii marszałka Junota; w 1813 roku został generałem; zdezerterował przed Waterloo; w 1830 roku został marszałkiem Francji; nie uznał monarchii lipcowej i opuścił Francję, by powrócić do niej w 1840 roku.

⁹ *Aulerci Cenomani* – łacińska nazwa starożytnego celtyckiego ludu Cenomanów (fr. *Aulrques Cénomand*) zamieszkującego wschodnią część dzisiejszego regionu Maine.

¹⁰ *Promisso capillo* (łac.) – długowłosi.

¹¹ *Marcjalis* (ok. 40-ok. 104) – rzymski poeta, mistrz krótkich utworów zwanych epigramami, których pozostawił około 1500.

¹² *Tam laxa est...* (łac.) – „Tak nieskrępowany... jak stare spodnie biednego Bretończyka”, fragment dwudziestego drugiego epigramu z jedenastej księgi *Epigramatów*.

Takimi byli ludzie, którzy w momencie, gdy przekraczamy granicę oddzielającą Dolną Loarę od Morbihanu, rozproszyli się w obszarze od La Roche-Bernard do Vannes i od Quertemberga po Billiers, obejmującym tym samym Muzillac.

Ale by dostrzec ich pośród janowców, wrzosów i krzewów, w których się czaili, trzeba było wzroku orla unoszącego się w przestworzach bądź puszczyka zdolnego widzieć w ciemnościach.



Przejdźmy pośród tej sieci niewidocznych posterunków i przekroczmy w bród dwa strumienie zasilające rzeczkę bez nazwy, która wpada do morza w pobliżu Billiers, między Arzałem i Damganem. Wejdźmy śmiało do miasteczka Muzillac. Panuje tam ciemność i spokój. Tylko poprzez szpary w okiennicach jednego z domów, lub raczej chat, której zresztą nic nie odróżnia od pozostałych, przenika światło.

To czwarta chata na prawo, wchodząc do miejscowości.

Zbliźmy oko do jednej ze szczelin i zajrzyjmy do środka.

Widzimy mężczyznę w ubraniu bogatego wieśniaka z Morbihanu. Ale kołnierz i dziurki od guzików jego surduta oraz brzeg kapelusza ozdabia szeroki na palec, złoty galon. Resztę przyodziewku stanowią skórzane spodnie i buty z wyłogami.

Na krześle obok leży szabla.

W zasięgu ręki znajdują się dwa pistolety.

Odblask płonącego w kominku ognia odbija się w lufach dwóch lub trzech karabinów.

Mężczyzna siedzi przy stole. Lampa oświetla jego twarz i papiery, które czyta z największą uwagą.

Jest to oblicze trzydziestolatka. Z pewnością byłoby szczere i wesołe, gdyby nie zasępiły go zmartwienia spowodowane partyzancką wojną. Twarz okalają piękne blond włosy, a ożywiają ją duże niebieskie oczy. Głowa natomiast posiada ów kształt szczególnie dla głów bretońskich, które go zawdzięczają, jeśli wierzyć teorii Galla¹³, nadmiernemu rozwojowi organów odpowiedzialnych za upór.

¹³ Franz Joseph Gall (1758-1828) – austriacki neurolog i psycholog, twórca frenologii, teorii sugerującej, że kształt czaszki związany jest z cechami fizycznymi i psychicznymi osobnika.



Ów człowiek posiada dwa nazwiska.

Przydomek, jakim tytułują go żołnierze, to „okrągła głowa”.

Swoje prawdziwe nazwisko, otrzymane od szacownych i dzielnych rodziców, to Georges Cadudal, lub raczej Georges Cadoudal, bowiem tradycja zmieniła ortografię tego nazwiska, które stało się historyczne.

Georges był synem rolnika z fermy Kerléano, leżącej w parafii Brech. Legenda głosi, że rolnik ów był jednocześnie młynarzem. Georges otrzymał porządne wykształcenie w gimnazjum w Vannes, od którego Brech oddalone jest o kilka mil. Właśnie ukończył szkołę, kiedy rozległy się pierwsze nawoływania do rojalistycznego powstania w Wandei. Cadoudal je usłyszał, zebrał grupkę towarzyszy polowań i zabaw, na ich czele przekroczył Loarę i zaoferował swe usługi Stoffletowi. Jednak ten przed włączeniem go do swoich szeregów zażądał, by najpierw pokazał, ile jest wart. Na to tylko czekał Georges. Na odpowiednie okazje w wandejskiej armii nie trzeba było długo czekać. Już następnego dnia doszło do walki. Georges bił się tak dobrze i tak

zapamiętał, że zobaczywszy go szarżującego na Niebieskich¹⁴, dawny łowczy pana de Maulevrier nie mógł się powstrzymać od głośnej oceny skierowanej do stojącego w pobliżu Bonchampa:

– Jeśli armatnia kula nie utraci tej „dużej okrągłej głowy”, to zajdzie ona daleko, ja to panu powiadam. Określenie to przywarło do Cadoudala.

Podobnie pięć wieków wcześniej panowie de Malestroit, de Penhoët, de Beaumanoir i de Rochefort określili wielkiego konetabla¹⁵, za którego bretońskie kobiety zapłaciły okup.

„Oto duża okrągła głowa – mówili – przyjdzie nam srogo zmierzyć się na miecze z Anglikami”.

Na nieszczęście tym razem Bretończycy nie krzyżowali mieczy z Anglikami. Obecnie Francuzi walczyli z Francuzami.

Georges pozostał w Wandei aż do odwrotu spod Savenay¹⁶.

Cała wandejska armia legła na polu bitwy lub rozproszyła się jak dym.

Przez niemal trzy lata Georges dokonywał cudów i dawał wyraz swojej odwagi, zręczności i siły. Przeprowadził się przez Loarę i powrócił do Morbihanu tylko z jednym z tych, którzy poszli za nim walczyć.

Ten druh stał się więcej niż adiutantem, był jego wojennym towarzyszem. Nigdy nie rozstawał się z Cadoudalem, a dawszy wyraz pamięci o ciężkiej kampanii, w której uczestniczyli, zmienił swe nazwisko z Lemerrier na Tiffauges¹⁷. Spotkaliśmy go na balu ofiar obarczonego misją do Morgana.

Powróciwszy w rodzinne strony, teraz Cadoudal na swe własne konto niósł zarzewie powstania. Armatnie kule uszanowały dużą okrągłą głowę, a jej właściciel zgodnie z przepowiednią Stoffleta, zastąpił la Rochejacqueleina, d'Elbégo, Bonchampa, Lescure'a, nawet samego Stoffleta i stał się ich rywalem w drodze do chwały, a także przewyższył ich potęgą. Był bowiem w stanie walczyć niemal samotnie, co daje wyobrażenie o jego sile, z rządem Bonapartego, będącego od trzech miesięcy pierwszym konsulem.

Dwaj pozostali przywódcy, którzy wraz z nim pozostali wierni burbońskiej dynastii, to Frotté i Bourmont.

W dniu, w którym się znaleźliśmy, czyli dwudziestego szóstego stycznia 1800 roku, Cadoudal miał do swej dyspozycji od trzech do czterech tysięcy ludzi. Gotował się z nimi do blokady generała Hatry¹⁸ w Vannes.

W oczekiwaniu na odpowiedź pierwszego konsula na list Ludwika XVIII zawiesił działania bojowe. Ale dwa dni temu Tiffauges powrócił i przekazał mu otrzymaną wiadomość.

Została ona już przesłana do Anglii, gdzie miała trafić do Mittau. A ponieważ pierwszy konsul odrzucił propozycje pokoju na warunkach proponowanych przez Ludwika XVIII, naczelny dowódca króla na Zachodzie przystąpił do wznowienia wojny przeciw Bonapartemu. Nawet jeśliby przyszło mu ją prowadzić samotnie ze swym przyjacielem Tiffaugesem, który w tym momencie był w Pouancé, gdzie trwały negocjacje między Châtillonem, d'Autichampem i księdzem Bernierem a generałem Hédouville.

Ten ostatni z wielkich bojowników wojny domowej rozmyślał, a na podstawie nowin, które niedawno otrzymał, faktycznie było się nad czym zastanawiać.

Generał Brune, zwycięzca spod Alkmaar¹⁹ i spod Castricum²⁰, zbawca Holandii, dopiero co mianowany został naczelnym dowódcą republikańskiej armii na Zachodzie, a trzy dni temu przybył do Nantes. Jego zadaniem było zniszczyć za wszelką cenę Cadoudala i jego szuanów.

Zatem za wszelką cenę Cadoudal i jego szuanie musieli pokazać nowemu naczelnemu dowódcy, że się go nie boją i może sobie darować próby zastraszania ich.

¹⁴ *Niebiescy* – podczas powstania w Wandei potoczne określenie wojsk republikańskich ze względu na kolor ich mundurów.

¹⁵ Chodzi o Bertranda du Guesclin (ok. 1320-1380) – nadzwyczaj sprawnego i walecznego bretońskiego rycerza, zarówno na polu bitwy, jak i w turniejach, konetabla Francji.

¹⁶ *Bitwa pod Savenay* (dwudziesty trzeci grudnia 1793 roku) – zdecydowanie przeważające liczebnie wojska republikańskie rozgromiły Armię Katolicką i Królewską, jeńców rozstrzelowano, ocalało bardzo niewiele.

¹⁷ *Bitwa pod Tiffauges* (dziewiętnastego września 1793 roku) – zwycięstwo mających liczebną przewagę powstańców wandejskich nad armią generała Klébera.

¹⁸ Nie wiadomo, czy celowo, czy pomyłkowo autor używa nazwiska Hatry zamiast Harty, bowiem w opisywanym miejscu w owym czasie przebywał generał Olivier Harty (1746-1823), natomiast generał Jacques Hatry (1742-1802) był wówczas gdzie indziej i bodaj nigdy nie walczył ani w Wandei, ani w Bretanii; w opisywanej w ciągu dalszym powieści bitwie w pobliżu Grand-Champ, zwanej bitwą przy moście du Loc'h (dwudziesty drugi stycznia 1800 roku), wojskiem republikańskim dowodził właśnie generał Olivier Harty; poza tym przebieg bitwy był nieco inny, niż przedstawił to Aleksander Dumas.

¹⁹ *Bitwa pod Alkmaar* (drugi października 1799 roku) – nierozstrzygnięta bitwa wojsk francusko-holenderskich dowodzonych przez generała Brune'a z siłami angielsko-rosyjskimi księcia Yorku.

²⁰ *Bitwa pod Castricum* (szósty października 1799 roku) – decydujące zwycięstwo armii francusko-holenderskiej generała Brune'a nad wojskami angielsko-rosyjskimi dowodzonymi przez księcia Yorku.

Wtem dobiegł go tętent kopyt galopującego konia. Zapewne jeździec miał odpowiednią przepustkę, bo bez trudu mijał patrole rozstawione wzdłuż drogi z La Roche-Bernard. Również bez problemu dostał się na przedmieście Muzillac.

Zatrzymał się przed drzwiami chaty, w której przebywał Georges. Generał uniósł głowę i na wszelki wypadek położył dłoń na pistolecie, choć najprawdopodobniej w drzwiach stanąć miał ktoś swój.

Kawalerzysta zsiadł z konia, przeszedł alejką i otworzył drzwi pomieszczenia, w którym znajdował się Cadoudal.

– A, to ty, Coeur-de-Roi! – odezwał się Georges. – Skąd przybywasz?



– Z Pouancé, generale!

– Jakie nowiny?

– List od Tiffaugesa.

– Daj.

Georges niemal wyrwał list z rąk Coeur-de-Roi i przeczytał.

– Ach! – powiedział tylko.

Przeczytał list raz jeszcze.

– Czy widziałeś tego, kogo przybycie list mi zapowiada? – spytał Cadoudal.

- Tak, generale – odpowiedział posłaniec.
 - Co to za człowiek?
 - Przystojny młodzieniec w wieku dwudziestu sześciu lub dwudziestu siedmiu lat.
 - Jakie sprawia wrażenie?
 - Zdecydowanego!
 - To by się zgadzało. Kiedy przybędzie?
 - Niewykluczone, że tej nocy.
 - Czy zarekomendowałeś go wzdłuż całej drogi?
 - Tak, przejdzie bez przeszkód.
 - Zarekomenduj go raz jeszcze. Nie może mu się nic przytrafić, chroniony jest przez Morgana.
 - Tak też się stanie, generale.
 - Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia?
 - Awangarda republikanów pojawiła się w La Roche-Bernard.
 - Ilu ludzi?
 - Około tysiąca. Taszcą ze sobą gilotynę i komisarza władzy wykonawczej, Milliére'a.
 - Jesteś tego pewien?
 - Spotkałem ich na drodze. Komisarz jechał konno w pobliżu pułkownika. Od razu go rozpoznałem. To właśnie on uśmiercił mojego brata. Poprzysiągłem sobie, że umrze tylko z mojej ręki.
 - I zaryzykowałbyś życie dla dopełnienia przysięgi?
 - Przy pierwszej lepszej okazji.
 - Być może nie trzeba będzie na to długo czekać.
- W tym momencie na ulicy ponownie zabrzmiał odgłos kopyt galopującego konia.
- Ach! – odezwał się Coeur-de-Roi. – To prawdopodobnie ten, którego oczekujesz.
 - Nie – odparł Georges. – Jeździec nadciąga od strony Vannes.
- Faktycznie, gdy odgłosy galopowania dały się słyszeć wyraźniej, stało się jasne, że Cadoudal miał rację. Podobnie jak przed chwilą, drugi kawalerzysta zatrzymał się przed drzwiami, zsiadł z konia i wszedł do chaty. Przywódca rojalistów natychmiast go rozpoznał pomimo obszernego płaszcza, w który był owinięty.
- A, to ty, Bénédicté – powiedział.
 - To ja, generale.
 - Skąd przybywasz?
 - Z Vapues, gdzie rozkazałeś mi śledzić Niebieskich.
 - I cóż takiego robią Niebiescy?
 - Obawiają się umrzeć z głodu, jeśli zablokujesz miasto, więc w celu zrobienia zapasów generał Hatry zamierza tej nocy przejąć zawartość magazynów w Grandchamp²¹. Będzie osobiście dowodził tą ekspedycją i by uczynić ją łatwą w manewrowaniu, kolumna składała się będzie tylko ze stu ludzi.
 - Czy jesteś zmęczony, Bénédicté?
 - Nigdy nie jestem zmęczony, generale.
 - A twój koń?
 - Dystans pokonał szybko, ale może w tym tempie zrobić jeszcze jakieś cztery lub pięć mil.
 - Daj mu odpocząć dwie godziny i podaj mu podwójną rację owsa, ale niech zrobi mil dziesięć.
 - Na takich warunkach da radę.
 - Wyruszysz za dwie godziny. O świcie będziesz w Grandchamp. Przekażesz ode mnie rozkaz ewakuacji miasteczka. Ja zajmę się generałem Hatry i jego kolumną. Czy to wszystko, co miałeś mi do zakomunikowania?
 - Nie, przywożę jeszcze jedną nowinę.
 - Jaką?
 - Że Vannes ma nowego biskupa.
 - A! Oddają nam biskupów?
 - Podobno, ale jeśli wszyscy są tacy jak ten, to mogą ich sobie zatrzymać.
 - A kto to taki?
 - Audrein²²!

²¹ *Grandchamp* – obecnie nazwę tej miejscowości zapisuje się „Grand-Champ”.

²² *Yves Marie Audrein* (1741-1800) – biskup, członek Konwentu, w sprawie śmierci króla był za odwołaniem się do głosu narodu lub za wyrokiem w zawieszeniu; schwytany i rozstrzelany przez szuanów dwiętnastego listopada w miejscowości Kerfeunteun.

- Królobójca?
 - Audrein Odszczepieniec.
 - A kiedy przybywa?
 - Tej nocy lub jutro.
 - Nie wyjadę mu na spotkanie. Ale niech się strzeże, by nie wpaść w ręce moich ludzi!
- Bénédicité i Coeur-de-Roi wybuchnęli śmiechem, który uzupełnił myśl Georges'a.
- Cicho! – polecił Cadoudal.

Trzej obecni zaczęli więc nasłuchiwać.

- Tym razem to zapewne on – oznajmił Georges.

Odgłos końskiego galopu dobiegał od strony La Roche-Bernard.

- To z pewnością on – powtórzył Coeur-de-Roi.

- W takim razie, przyjaciele, pozostawcie mnie samego... Ty, Bénédicité, jak najszybciej ruszaj do Grandchamp. Ty, Coeur-de-Roi, zostań na podwórku z trzydziestoma ludźmi. Mogę ich potrzebować do przesyłania rozkazów w różnych kierunkach. I jeszcze jedno: postaraj się, by przyniesiono to, co można znaleźć tu najlepszego do urządzenia wieczerzy.

- Dla ilu osób?

- Och! Dla dwóch.

- Wychodzisz?

- Nie, idę tylko przywitać przybysza.

Kilku ludzi podprowadziło na podwórko konie dla posłańców.

Po chwili posłańców już nie było.

Georges podszedł do bramy wychodzącej na drogę w chwili, gdy w pobliżu pojawił się jeździec, który zatrzymał konia i niezdeterminowany rozglądał wokół.

- Niech pan podjedzie tutaj – odezwał się Cadoudal.

- Kto mnie wzywa? – spytał jeździec.

- Ten, kogo szukasz.

- Skąd możesz wiedzieć, kogo szukam?

- Przypuszczam, że chodzi o Georges'a Cadoudala, inaczej zwanego „dużą okrągłą głową”.

- Faktycznie.

- Zatem witam serdecznie, panie Rolandzie de Montrevel, bo właśnie ja jestem tym, kogo szukasz.

- Ach co za niespodzianka! – zdumiał się przybysz.

Zeskoczył z siodła i rozejrzał się za kimś, komu mógłby powierzyć swego wierzchowca.

- Proszę rzucić wodze na szyję konia i nie martwić się o niego. Odnajdziesz go, gdy będziesz potrzebował. W Bretanii nic nie ginie. Jest pan na ziemi uczciwości.

Młody człowiek w ogóle nie zareagował. Rzucił wodze na koński kark, jak mu polecono, i podążył za Cadoudalem, który szedł przodem.

- Pozwoli pan, że wskażę drogę – powiedział przywódca szuanów.

Obydwaj weszli do chaty, w której niewidzialna ręka podsyłała płonący ogień.



Chcesz przeczytać dalszą część?
Zapraszamy do księgarni!